

Burza na Morzu Czarnym

*Sztorm w r. 1905 • Polska nie chce, żebym wracał • Paniczyk  
i rosyjski nuworysz • Port w Odessie • Człowiek jakby z mgły •  
Żadna kobieta nie może się do tego zbliżyć*

1

Miał szczerze dość rozmów o Polsce i ocierania się o śmierć, a ostatnimi laty chyba niczym innym się nie zajmował. Teraz akurat nie musiał z nikim dywagować o ojczyźnie, z czego prosty wniosek, że – po raz kolejny – umierał. Tym razem ostatecznie. I czuł się z tym źle.

Huknęło.

Takiego dźwięku nie może wydać woda. W żadnym wypadku. Woda to aksamitna ciecz przeciekająca pieszczotliwie między palcami, spływająca z pluskiem z misy fontanny w Ogrodzie Saskim, szemrząca w czasie przyboju między kamieniami na sachalińskich plażach. Tymczasem ten huk przywodził na myśl rozpędzoną lokomotywę, która uderza z impetem w kamienny mur. Wibracje ogłuszyły go i mało nie pozbawiły przytomności, kadłub parowca zadygotał od ciosu fali, zazgrzytał i nie tyle

pochylił się, co runął w dolinę między grzywaczami. Benedykt, zaklinowany stopami o wręg kadłuba, a plecami o skrzynię ze swoim dobytkiem, poczuł, że leci do tyłu, statek położył się na burcie, w niewielkim bulaju mignęło szare, nieprzyjazne niebo.

Polska nie chce, żebym do niej wracał, przemknęło mu przez głowę. Głupia myśl. Polski przecież nie ma. A nawet gdyby istniała, to wciąż stanowiłaby jedynie wyobrażony, umowny byt, żyjący tylko dzięki wierze swoich obywateli. Wsparta urzędnikami, pieczętkami i przepisami nie stałaby się – podobnie jak żadne inne państwo – niczym więcej niż wspólnym wyobrażeniem. Marą, złym duchem, strzygą o mocy pozbawiania człowieka szczęścia, wolności i życia. Pierwszego i drugiego pozbawiła go wiele dekad temu, trzecie najwyraźniej zabiera mu teraz.

Statek wierzgnął i położył się na drugi bok. Benedykt musiał z całej siły naprężyć mięśnie w obolałych nogach, żeby nie polecieć twarzą na dół. Ktoś obok miał mniej szczęścia, odnotował lecące ciało i głucho uderzenie.

– Bładź – zakląło ciało.

Z bulaja odpłynęła szarość, najpierw na chwilę zalała go piana, a potem mrok, kiedy skierowany był już nie w niebo, lecz w głębinę Morza Czarnego. Benedykt pomyślał, że to koniec, że tym razem przekoziołkują, odwrócą się kominem do dołu, skończy się niepewność i zostanie jedynie techniczne pytanie, czy prędzej się utopią, czy umrą z braku powietrza.

Statek zajęczał przeciągle, jakby próbował wypowiedzieć pełne zdanie, i wyprostował się.

Benedykt napiął ciało, spodziewając się kolejnego uderzenia, ale mijały sekundy i poza silnym bujaniem do przodu i do tyłu, typowym dla sztormującego statku, nic wyjątkowego się nie działo. Pozwolił sobie na rozluźnienie mięśni szczęki i głębokie westchnienie.

Oddech smakował wymiocinami. Ze wstrętem przełknął ślinę, ale pomogło to niewiele. Splunął i po raz setny od początku piekielnego sztormu pomyślał, że nie musi siedzieć w ładowni, która zapewne stanie się grobem wszystkich w niej zgromadzonych. Już nie jest zesłańcem, wraca do Europy jako poważany uczonec, ma na statku kabinę, łóżko i kto wie, może nawet miejsce w szalupie ratunkowej.

Nie mógł jednak zostawić skrzyni. Musiał ją chronić za wszelką cenę, nawet za cenę życia, rozumiał, że taki koszt, z jego punktu widzenia oczywiście znaczny, w szerszej perspektywie kompletnie nie ma znaczenia.

Poczuł ciepły dotyk na swojej dłoni, zaciśniętej na mocującym skrzynię powrozie.

– *Tusu kuru?*

Benedykt uśmiechnął się do dziesięcioletniego chłopca, który nieoczekiwanie stał się najmiłszym jego sercu towarzyszem podróży, dokładając starań, aby uśmiech nie zdradził jego wewnętrznego przekonania, że umrą tu obaj, i to raczej prędzej niż później.

– *Aj-Ojna?*

– Spróbuję – odpowiedział po ajnuskach, uznawszy, że nie jest to dobry moment na tłumaczenie chłopcu, że nie jest szamanem, że nie wierzy w Ducha Najwyższego ani w ogóle w żadnego ducha i że zginą nie z woli przodków, tylko przez przekłętą rosyjskiego kapitana, który nie potrafi patrzeć na barometr.

Zamknął oczy i zaintonował cicho modlitwę do przodków. Chłopiec przyłgnął ufnie do jego ramienia, a razem z ciepłem jego ciała na Benedykta spłynął pełen smutku spokój. Ze słowami pieśni wróciły obrazy wioski. Pożegnanie ze wszystkimi o zamglonym świecie. A wcześniej ledwo widoczna w mroku twarz Pukusy, która ani słowem nie skomentowała jego snu tych przez całą noc opowieści o tym, że wróci. Że przecież

nie zostawi jej i dzieci. Że sprowadzi ją do Polski, że przekona starszyznę, tylko najpierw musi tam, w ojczyźnie, wszystko przygotować. Wysłuchiła go bez słowa, bez słowa go kochała i zasnęła z głową na jego ramieniu.

Nie sposób było nie usłyszeć tego dźwięku. Mimo wycia wiatru, hałasu fal, trzeszczenia kadłuba, płaczów i przekleństw zgromadzonych w ładowni ludzi oraz dudnienia tłoków maszyny parowej, cichy syk sprawiał, że najstarsze części mózgu stawały na baczność.

Syk narastał, obrastał w kolejne dźwięki – każdy gorszy. Gulgot, kojarzący się z wpadaniem brudnej, rynsztokowej wody do kanału w czasie ulewy. Gardłowy charkot, jak obrzydliwy gruźliczy kaszel. Grzmot, niczym ten przewalający się nad kresowymi polami w czasie burzy, potężny, gnany wiatrem, nienapotykalący żadnej przeszkody, kładący do ziemi łany pszenicy. Wszystkie te dźwięki współgrały, wzmacniały siebie nawzajem aż do ogłuszającej symfonii, przerażającej w sposób najbardziej pierwotny, odzierającej z człowieczeństwa, sprowadzającej zadufaną w sobie małpę do właściwego jej poziomu bezradnego wobec natury stworzonka.

Benedykt Czernski wziął chłopca w ramiona, objął, usiłując jak najbardziej osłonić niewielkie ciało, nabrał powietrza, skulił się i czekał na śmierć.

## 2

Ten sam sztorm, który robił wszystko, żeby wysłać statek z Benedyktem i jego bezcenną skrzynią na dno Morza Czarnego, spadł na Odessę z taką siłą, że Bronisław Najdarowski odsunął się od okna w salonie. Jeszcze przed chwilą miał widok chłoszczącej miasto burzy za hipnotyzujący pokaz sił natury,

ale teraz zaczął się obawiać, że kolejne uderzenie deszczu i wiatru wepchnie do środka szybę. Gwałtowna nawałnica nie tyle przetaczała się nad miastem, co próbowała zetrzeć je z powierzchni ziemi.

– Ty mówisz: „wielki uczonec”, ja mówię: „nieprzewidywalny szaleniec” – powiedział, patrząc na spływający po szybie wodospad. – Pamiętaj, że Czernski to nie ta sama osoba, która wyjechała trzydzieści lat temu. Zgarnęli go zresztą przypadkiem, z rozpędu i przez kolegów. I podobno już wtedy był dziwny, żaden spiskowiec, wzorowy uczeń, zakochujący się w każdej brzyduli, co przeszła drugą stroną ulicy. A teraz? Porozmawiaj z Sieroszewskim, on ci opowie. Brodaty szaman z żoną dzikuską i dziećmi dzikusiątkami. Kompletnie oszalał, podobno rozsierdził dwa imperia, walcząc o te brodate baby z ogonami.

– Sieroszewski koloryzuje – mruknął jego towarzysz, znany w Odessie jako Ludwik Ochocki, z głębi stojącego w bezpiecznej odległości od okna fotela. – Spytaj go o godzinę, to ci opowie, jak się musiał pojedynkować z bogiem czasu, żeby zdobyć tę wiedzę.

– I tak nie widzę, jak Czernski mógłby nam się przysłużyć.

– Pieniędzmi.

Najdarowski prychnął.

– Jak? Będzie pokazywał po jarmarkach te baby z ogonami? Mój drogi, jest dwudziesty wiek, byle ogon nie robi na ludziach wrażenia. A już na pewno nie tutaj, czasami takie dziwa zwożą z imperium, że najprostszym chłopom spowszedniały.

– Imperium. Z szacunkiem się wypowiadasz.

Odwrócił się, zły, żeby spojrzeć Ochockiemu w oczy.

– A żebyś wiedział, że z szacunkiem – warknął. – Bo ja, w przeciwieństwie do was, spiskowców od siedmiu boleści, coś ryzykuję. Nie siedzę po spelunach i nie nucę ze łzami